

# PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

18

## Arsenały i katakumby.

Galerya ta była nieskończonej długości i zrozumiałem wkrótce, że musiała ona służyć jako środek komunikacyjny z kryształową wieżą, którą opuściłem niedawno, a jedną z tych, które ujrzałem z wysokości platformy. Naprawdę silnie się odgadnąć cel tego dziwnego zabudowania.

Liczne i urozmaicone widoki przesuwaly się teraz przed moimi oczami. To las prawdziwy o ciemno szmaragdowych liściach, nakrapianych lazurem, pnie gładkie i lepkie, miejscami narośnięte muszlami dziwnych kształtów. Olbrzymie kraby spacerowały po nich, wędząc za żerem.

Dalej, były ogrody o wspaniałych, jaskrawych kwiatach, ponad którymi unosiły się, jak chmura motyli, tysiące srebrzystych zwinnych rybek. Dalej jeszcze otwierały się głębokie grot podwodnych, gdzie ujrzałem poruszającą się żywo ciżbę istot ludzkich. Sądziłem, że mam przed sobą kopalnię jakąś, lub łomy kamieni. A wszędzie zauważyć mogłem, że dno morza było starannie kultywowane i regularnie eksploatowane.

Ujrzałem rodzaj parku, przedzielonego głębokimi rowami i murami na wysokość człowieka. W każdym rowie znajdował się skorupiak, podobny do naszych homarów, lecz o wiele większy.

Niektóre dochodziły do pięciu metrów długości, a ich szczypce służyć mogły za broń niebezpieczną, zdolną do przecięcia na dwoje ciała ludzkiego, tembardziej, że umieszczone miały po bokach olbrzymie piły. Każdy z tych potworów uwiązany był w swoim dole. Ujrzałem człowieka morskiego, podobnego do myśliwego, którego spotkałem podchodzącego do nich z ciężkim koszem, napełnionym rybami. Szedł do każdego dołu, rzucając każdemu skorupiakowi wyznaczoną rację, nie uszedł mi żaden szczegół tej sceny, widziałem wznoszące się w górę szczypce z piłami w oczekiwaniu pożywienia. Była to widocznie metodyczna hodowla skorupiaków, gdzie karmiono je, aby się stały zdolniejsze do pożywienia ludzi podmorskich.

W niewielkim oddaleniu rozciągała się łąka szmaragdowa, po której pełzały setki dużych żółwi, strzeżone przez pasterza, uzbrojonego w boomerang z czerwonego metalu, któremu towarzyszyły dwie wydry, odgrywające rolę psów-stróżów. Pasterz zajęty był zbieraniem muszli do kociołka i nie spostrzegł mnie, pomimo moich wysiłków, aby skierować jego uwagę w moją stronę.

Po przejściu koło tej łąki, strzeżonej przez spokojnego pasterza, znalazłem się nagle przed prawdziwą, zabudowaną wsią. Setki zabudowań o szpiczastych dachach widniały rozsypanych wdzięcznie pomiędzy gąszczami szafirowych i żółtych alg. Widok ten był wprost bajeczny.

Domki o szpiczastych dachach, naksztalt dużych muszli, wzniesione były z koralu białego i różowego, a wielka ich część była zewnętrznie ozdobiona błyszczącymi, jak srebro, muszlami. Było to miasteczko z perłowej masy i alabastru, uspięne na głębiach spokojnego morza. Przyswojone foki rozciągały się leniwo pod progami domostw. Wąskie okna zaopatrzone były wypukłymi szybami, które, jak mi się zdawało, były zrobione z wypolerowanych skorup żółwi. Wielkie szkarłatne koralowe drzewa, rozrzucone w artystycznym nieładzie, rzucały na białe ściany ciepły różowy refleks.

W pewnych odstępach umieszczone były kolumny, nad którymi wznosiły się wielkie banie, nie mogłem odgadnąć ich celu. Przypuszczałem, że służyły one do oświetlenia i wyobrażałem sobie, jak cudownie musiała wyglądać ta wieś zaczarowana, uspięna w głębiach morza.

Zresztą oprócz zwierząt domowych nie dojrzałem żadnej istoty ludzkiej. Mieszkańcy musieli być zajęci na zewnątrz polowaniem lub uprawą krzewów i hodowlą swoich stad. Jednakże pomimo gorącego zachwyty, jaki wywołały we mnie te piękne obrazy, odczuwałem coraz silniej męki głodu i pragnienia, a nie miałem żadnej nadziei załagodzenia ich.

Jakże żałowałem, że nie posiadałem organizmu zdolnego do przebywania w głębiach tych wód. Byłbym roztrząsał szybę, dzielącą mnie od tych wsi podwodnych i poszedł prosić o gościnność mieszkańców tych ślicznych koralowych domków. Z pewnością przyjęliby mnie życzliwie.

Nie wiedziałem już teraz, jaką obrać drogę, byłem prawie przekonany, że na drugim końcu galeryi, którą szedłem, znajdę znowu podobną wyludnioną wieżę, jak ta, którą przed chwilą opuściłem.

Przecież jednak mieszkańcy tego szczególnego pałacu będą się musieli wkońcu ukazać. Pragnąłem tak gorąco wyjaśnienia tej męczącej tajemnicy, męczyłem wyobraźnię, kombinowałem na różne sposoby i wszystko na próżno. Cisza panująca wokoło mnie podwajała tylko moje rozgorączkowanie. Nie miałem pojęcia, gdzie się znajduję i jakich ludzi czy potworów byłem więźniem.

Usiadłem na ziemi, aby wypocząć trochę i zastanowić się, co dalej czynić mam, gdy odkryłem niską i głęboką arkadę, która zdawała mi się być umieszczona o piętro niżej pod podwodną galeryą.

Wahałem się zagłębić w to sklepienie półmroczone, kiedy z głębin doszedł do mnie wybuch ostrego śmiechu, już raz usłyszanego w gąszczu nadpowietrznych roślin. Ten śmiech zgrzytliwy, niemający w sobie nic ludzkiego, napełnił mnie w pierwszej chwili przerażeniem. Uczulem lodowate zimno koło serca, a nogi osłabły i zadrżały pod mną na myśl, że będę zmuszony spotkać się z tymi potworami, straszniejszymi od tych wszystkich, jakie dotąd napotkałem. Ale przewyciężyłem tę chwilową słabość, starając się wzbudzić u siebie zimną krew i odwagę. Wszystko było lepsze od niepewności, w jakiej byłem pogrążony, a przytem pocieszałem się nadzieją, że istoty dosyć inteligentne, aby wzniesić tak wspaniałe budynki, jakie miałem przed oczami, nie mogły być brutalne i bezwzględne. Uwięzili mnie, ale dotąd nie uczyniły mi nic złego. Może byłem tylko dla nich zwierzęciem nieznanym a ciekawym, które pragnęli poznać i zbadać.

Ośmielony tem przypuszczeniem, wślizgnąłem się ostrożnie w ciemny korytarz i zeszedłem po bystrej bardzo pochyłości, która tak jak w innych częściach wieży zastępowała schody.

Trudność oryentowania się w tych ciemnościach byłaby mnie może wstrzymała, lecz niespodziewanie stopy moje natrafiły na jakieś drobne przeszkody, przytwierdzone do gruntu, wielkości dużego orzecha włoskiego. Równocześnie, widocznie przez naciśnięcie jakiegoś ukrytego mechanizmu, całe wnętrze galeryi rozbiły się łagodnym światłem, dostatecznym do dania mi możności rozpoznania miejsca, w którym się znajdowałem.

Stałem chwilę, unieruchomiony zdziwieniem, prawie przekonany, że wstąpiłem w jakieś zaczarowane królestwo i że czarodziejka, kierująca moimi krokami, oświeśliła magicznie moją drogę w chwili, gdy rozpaczałem nad brakiem światła.

Ściany miały ten sam odcień szkła, jaki zauważyłem w całym budynku, ale sklepienie było całe pokryte fantastycznymi kwiatami i zwierzętami i stamtąd spływał potok bladego światła.

Postąpiłem kilka kroków naprzód, ale w miarę, gdy szedłem, sklepienie zaciemniało się, a jasność, jak gdyby zmieniała miejsce, poprzedzała mnie, obrzucając mnie świetlaną aureolą.

Zrozumiałem natychmiast, że zjawisko to wywołane było ciężarem mojego ciała, które naciskając ukryty mechanizm pod moimi stopami, wywoływało to niespodziewane oświetlenie.

Co zaś do natury samej tego bladego światła, nie mogłem jeszcze określić go, być może, że było to gazy fosforyzujące, lub też wywołane było specjalnymi radami, właściwymi planecie.

Niesiony pochyłością galeryi, zsuwałem się ciągle na dół i kilka razy napotkałem podziemne sklepienia, gdzie schodziły się inne korytarze. Lękając się skręcić w lewą lub prawą stronę, aby nie zabłądzić w tym labiryncie, musiałem się koniecznie trzymać tej prostej drogi.

Nagle znalazłem się w obszernej sali, gdzie ciągnęła się nieskończenie długa linia sztywnych, starożytnych pomników, niektóre wykute w czerwonym porfirze, drugie zaś ulane z czarnego metalu o licznych złoceniach. Posągi te wyobrażały ptaki o ludzkich twarzach, skrzydlate krokodyle i różne gatunki zwierząt o oryginalnej, fantastycznej budowie. Nie mogłem zrozumieć, czy obraz ich był wywołany podnieconą wyobraźnią artysty, czy też istniały one kiedykolwiek w naturze.

Przychyliłem się do ostatniego przypuszczenia, ujrawszy wykutego Erloona z przedziwną dokładnością i staraniem. Cały ten rząd gigantycznych posągów, gubiący się w ciemnościach galeryi, miał w sobie coś dziwnie poważnego i grobowego. Uczulem się niemile dotknięty tym widokiem. Skupiały one na mojej nędznej osobie błyszczące źrenice z drogiego kamieni z taką upornością i powagą, jak gdyby chciały mi powiedzieć: „Nie odkryjesz nigdy tajemnicy, której stróżami jesteśmy wiecznymi, nie poznasz nigdy prawdy“.

Szedłem dalej niepewnym krokiem. Zdawało mi się, że poza kołem światłości, którą szedłem otoczony, te potwory kamienne i metalowe skupiały się w cieniu, chcąc im zagrozić drogę i zmusić do odwrotu.

Zakaszlałem, grobowe echo rozniósło się wokoło i powróciło do mnie, przebiegłszy jakąś daleką, niezmierną przestrzeń. Byłem pewny, że istota, której śmiech szatański dobiegł mnie przed chwilą, wystąpi nagle z za tych piedestałów i zbliży się do mnie. Ale myliłem się, ta olbrzymia sala zdaje się była opustoszała od wieków, pył szary rzucał niezdeterminowany cień na kontury przedmiotów i pogrążał wszystko w półmroku.

Widok tego barbarzyńskiego, pierwotnego otoczenia miał w sobie coś przynębiającego, czulem na barkach swoich wiekowy ciężar starych cywilizacji marsjańskich, które zapewne nigdy nie poznają dokładnie.

Doszedłem do końca tej galeryi posągów, tu znowu rozciągała się przede mną inna sala, większa jeszcze od poprzedniej i wypełniona również starożytnymi posągami. Żałowałem, że zaawanturowałem się aż dotąd, jednakże jakaś tajemnicza siła pchała mnie naprzód. Szedłem dosyć prędko, chcąc jak najprędzej przebiec te nieskończone sale, a teraz zdenerwowany biedz zacząłem.

Otoczony nimbem świetlanym, który rozpałał się pod moimi stopami, musiałem być podobnym do meteora, zabłąkanego w ciemnościach. Doznawałem zawrotu głowy; po dwu salach, o których wspominałem, napotkałem szereg innych. Było to prawdziwe podziemne miasteczko, tak obszerne, jak olbrzymie pałace Ang-Kory, lub niektóre stare ruiny egipskie. Musiano zużyć zapewne wieki całe, aby wzniesić pod morzem te nieskończone zabudowania. Przystanąłem wkońcu, tracąc nadzieję dotarcia do ich końca. Byłem zmęczony i zgłodniały i nie zdecydowany co dalej robić, nie chciałem powracać, a również lękałem się iść dalej.

Odkrycie portyku, dającego ujście do innego podziemnego piętra, rozwiła moją niepewność. — Zeszedłem niżej jeszcze. Sale, które teraz oglądałem, nie były w niczem podobne do poprzednich. Miały wygląd obszernych składów i magazynów. Pierwsza, jaką zwiedziłem, zawierała tysiące słoików szklanych, hermetycznie zamkniętych. W drugiej znowu widziałem wielką ilość balów, niedbale związanych, z materyi, która, jak mi się zdawało, była ze skóry rybiej, specjalnie wyprawionej.

Na widok słoików wydałem okrzyk radości. Przekonanie, że znajduję się w składzie zapasów żywności, przywróciło mi zupełnie utraconą odwagę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# LALKI

Zabawki, Konie  
na biegunach,  
Gry towarzyskie

poleca  
w wielkim  
wyborze

C. SZCZURKOWSKI  
== W KRAKOWIE ==

ul. Grodzka 2

Jedyny w Krakowie, który posiada Zakład pogrzebowy „Concordia“ Jana Wolnego  
własny wyrób trumien == Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) == Telefon Nr. 331.